

Łukasz Warzecha: Brytyjczycy przełamują tabu

Sprowadzenie przemówienia Camerona jedynie do kwestii referendum i wewnętrznych potrzeb politycznych jest nieporozumieniem



Sprowadzenie przemówienia Camerona jedynie do kwestii referendum i wewnętrznych potrzeb politycznych jest nieporozumieniem



Trudno się dziwić, że Radosław Sikorski nie ocenił wystąpienia brytyjskiego premiera zbyt korzystnie. David Cameron wytknął w nim bowiem Unii Europejskiej wszystko to, czego Sikorski uparcie nie chce dostrzegać, a co stanowi o coraz bardziej patologicznym charakterze tej międzynarodowej struktury – pisze publicysta

"Zaprosiliście mnie tutaj, abym mówiła o Wielkiej Brytanii i Europie. Być może powinnam wam pogratulować odwagi. Jeśli wierzycie w to, co niektórzy mówią i piszą na temat moich poglądów na Europę, jest to jak zapraszanie Czyngis Chana, aby mówił o zaletach pokojowego współistnienia".

Tak w 1988 roku zaczynała Margaret Thatcher swoje słynne przemówienie w Kolegium Europejskim w Brugii. To wystąpienie do dziś jest kompendium zdrowego, realistycznego spojrzenia na Unię Europejską. Unię suwerennych państw, które wspólnie chcą osiągać konkretne i dobrze zdefiniowane cele, a nie nieustannie „pogłębiać integrację” bez widomego końca i celu tego procesu.

David Cameron w swoim niedawnym wystąpieniu, świadomie lub nie, przynajmniej częściowo nawiązał do słów swojej wybitnej poprzedniczki. Wywołało to, jak łatwo było przewidzieć, złość, niechęć, a nawet wściekłość części europejskich elit politycznych.

Odważna diagnoza

„David Cameron przeniósł swoim wystąpieniem Wielką Brytanię do kategorii państw specjalnej troski” – ocenił z troską szef polskiej dyplomacji Radosław Sikorski. I dodał bez fałszywej skromności, że w ciągu dziesięciu lat Polska mogłaby zająć w gronie unijnych decydentów miejsce opuszczone właśnie przez Londyn.

Trudno się dziwić, że Sikorski nie ocenił wystąpienia brytyjskiego premiera zbyt korzystnie. Cameron wytknął w nim bowiem Unii Europejskiej wszystko to, czego Sikorski uparcie nie chce dostrzegać, a co stanowi o coraz bardziej patologicznym charakterze tej międzynarodowej struktury.

Rzecz jasna, europejskie przemówienie Camerona było w ogromnej części skierowane na rodzimy rynek polityczny. Miało tam do spełnienia trzy zadania. Po pierwsze – było rodzajem ucieczki do przodu przed rosnącą siłą eurosceptycznej Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa (UKIP), której najbardziej znanym przedstawicielem i liderem jest eurodeputowany Nigel Farage. UKIP od dawna wytykał Cameronowi, że uchyla się od przeprowadzenia referendum na temat obecności Wielkiej Brytanii w Unii Europejskiej, i dzięki takiej retoryce zgarniał tradycyjnie sceptycznych wobec UE brytyjskich wyborców o konserwatywnym i nacjonalistycznym nastawieniu.

Po drugie – chodziło o spacyfikowanie członków własnej partii. W przeciwieństwie do polskiego parlamentu, w Izbie Gmin niezależność deputowanych jest znaczna i bunt części z nich nawet w zasadniczych sprawach bywa dla lidera zwycięskiego ugrupowania (który z zasady jest także premierem) poważnym problemem. Oba te czynniki się łączą, jako że szeregowi posłowie konserwatywni do Izby Gmin coraz bardziej obawiali się, iż stracą swoje miejsca na rzecz kandydatów UKIP.

Po trzecie – Cameron obwarował obietnicę referendum kilkoma warunkami, a jednym z nich, dość oczywistym, jest zwycięstwo konserwatystów w kolejnych wyborach, zaplanowanych na 2015 rok. Ma to zachęcić eurosceptycznie nastawionych wyborców, aby oddać głos na Partię Konserwatywną.

Jednak sprowadzenie przemówienia Camerona jedynie do kwestii referendum i wewnętrznych potrzeb politycznych jest nieporozumieniem. W istocie bowiem mamy do czynienia z niezwykle błyskotliwą i śmiałą diagnozą rzeczywistych problemów Unii Europejskiej, na jaką nie powążył się dotąd żaden z przywódców państw członkowskich.

Cameron jak Merkel

Komentując słowa Camerona, Sikorski dostrzegł jedynie to, że – co polski minister pochwalił – Cameron „zdemontował część eurosceptycznych mitów”. Niestety, szef MSZ nie zauważył lub

zauważyć nie chciał, że większość przemówienia szefa brytyjskiego gabinetu była poświęcona wytknięciu wad obecnych rozwiązań.

Najważniejsza jednak i godna przytoczenia była następująca deklaracja: „[...] nasze podejście do Unii Europejskiej jest bardziej praktyczne niż emocjonalne. Dla nas Unia Europejska jest środkiem do osiągnięcia celu – pomyślności, stabilności, jest kotwicą wolności i demokracji zarówno w Europie, jak i poza nią – nie jest zaś celem samym w sobie. Uparcie zadajemy pytania: Jak? Dlaczego? W jakim celu? Lecz wszystko to nie czyni nas mniej europejskimi”.

Te słowa nie powinny być właściwie niczym niezwykłym. Tak właśnie każdy dojrzały i suwerenny przywódca powinien traktować Unię Europejską i rozumieć rolę swojego kraju w tej organizacji. Z całą pewnością tak właśnie rozumuje – nawet jeżeli głośno o tym nie mówi – Angela Merkel. Czy tak rozumuje Donald Tusk i jego podwładny – można wątpić.

Dalej Cameron rozwija tę myśl i tłumaczy, dlaczego Unia w obecnym kształcie budzi jego sprzeciw. Absurdalnie rozrośnięta biurokracja, krępujące wolność gospodarczą reguły, sztywne, narzucane wszystkim państwom zasady rynku pracy, wreszcie podporządkowanie wszystkiego dogmatowi utrzymania wspólnej waluty za wszelką cenę. Przede wszystkim zaś – i to jest w wystąpieniu Camerona szczególnie ważne – postępujące oddalenie Unii od obywateli.

O tak zwanym deficycie demokratycznym mówią właściwie wszyscy, także najwyżsi unijni urzędnicy. Jest to jednak jedynie – jak to się ładnie po angielsku określa – lip service. Czcze gadanie, powielanie oklepanych formułek, za którymi nic nie idzie.

Półgębkiem o deficycie demokracji wspominali także Sikorski i Guido Westerwelle, jego niemiecki odpowiednik, w opublikowanym we wrześniu 2012 roku artykule podsumowującym raport o przyszłości UE, stworzony przez grupę ministrów spraw zagranicznych. W tekście tym doskonale widać było, jak w gruncie rzeczy mało istotny jest dla autorów ten zasadniczy problem. Z jednej bowiem strony przyznawali, że „coś z tym trzeba zrobić”, z drugiej zaś proponowali niezwykle daleko idące nowe rozwiązania (federalizacja UE, ściślejsza kontrola wspólnoty nad finansami państw itd.), nie wspominając nawet o konieczności ich akceptacji przez obywateli państw członkowskich w jedynej możliwej w takiej sytuacji formie: w referendum. A tylko ono mogłoby zaspokoić ów głód demokracji.

Niebezpieczne referenda

Cameron uchwycił w swoim wystąpieniu istotę sprawy, odpowiadając zarazem na potrzeby obywateli – niestety, tylko brytyjskich. W sytuacji, gdy Unia Europejska jest dziś całkiem inna niż w chwili, gdy wstępowała do niej Polska, gdy co kilka tygodni pojawiają się coraz dalej idące pomysły, jak zintegrować ją jeszcze mocniej, obywatele czują, że nie mają już nad tymi procesami żadnej kontroli. Jeżeli proponuje się całkiem nowe rozwiązania, jeżeli mówi się o federalizacji, nowym traktacie lub też, co gorsza, o tym, jak ominąć potrzebę jego

tworzenia i negocjowania i wprowadzić daleko idące rozwiązania kuchennymi drzwiami – trzeba w końcu dać obywatelom prawo zdecydowania, czy tego chcą czy nie. Zadać im w powszechnym głosowaniu proste, jasne pytanie: tak czy nie? To zapowiedział Cameron, o tym nie chce słyszeć Sikorski.

To oczywiście logiczne. Europejska polityka szefa MSZ zasadza się na ścisłym przymierzu z Niemcami, które są dziś bodaj jedynym krajem UE, gdzie obywatele mogą mieć komfort świadomości, iż to wszyscy dookoła muszą się dostosować do nich, a nie oni do nich.

Niemcy to zapewne jedyny europejski kraj, w którym referendum dotyczące na przykład federalizacji nie byłoby konieczne. Byłaby to bowiem federalizacja na niemieckich warunkach. Z uwzględnieniem, rzecz jasna, interesów sfery finansowej i bankowej, która staje się coraz ważniejszym, ponadnarodowym aktorem gry.

Berlin, podobnie jak unijna biurokracja, nie widzi potrzeby i nie chce żadnych referendów. Referenda są niebezpieczne, bo mogą się skończyć niepożądaną odpowiedzią, jak to było w Irlandii (odrzućcie traktatu lizbońskiego w roku 2008), we Francji i Holandii (odrzućcie traktatu konstytucyjnego w roku 2005). Nie chcą ich politycy, wmawiający Europejczykom, że nie ma innej drogi niż jedynie słuszna: więcej integracji, ratowanie strefy euro, zaciskanie pasa pod dyktando najbogatszych.

Także tutaj Cameron postawił sprawę jasno, mówiąc: „Więcej tego samego nie zapewni przyszłości strefie euro. Więcej tego samego nie sprawi, że Unia Europejska będzie nadążać za nowymi, silnymi gospodarkami. Więcej tego samego nie przybliży Unii do jej obywateli. Więcej tego samego będzie po prostu oznaczać więcej tego, co dziś widzimy – obniżonej konkurencyjności, niższego wzrostu, większego bezrobocia. I uczyni nasze kraje słabszymi, nie silniejszymi”.

Sikorski stoi jednoznacznie po stronie tych, którzy chcą „więcej tego samego”. Którzy pożar gaszą benzyną.

Europejski „Titanic”

Cameron proponuje wizję Unii „sieciowej”. Struktury elastycznej, dostosowanej do potrzeb każdego z jej uczestników, nie zaś równającej zasady dla wszystkich według jednego wzorca, opracowanego poza demokratyczną kontrolą w ciemnych gabinetach brukselskich urzędników pod dyktando najsilniejszych.

Ale to także wizja w pewien sposób sankcjonująca to, co w części już się stało. Unia nie jest już miejscem dla wszystkich. Spójrzmy na Grecję, praktycznie pozbawioną suwerenności, tłamszoną absurdalnie wyśrubowanymi żądaniami, od których uzależniane są wypłaty kolejnych transz kredytów. A potem spójrzmy na Niemcy czy Francję. Dramatem i problemem jest to, że podział na klasy i kręgi już nastąpił, ale nie jest to podział oficjalny.

Unia jest dzisiaj jak wielki transoceaniczny liniowiec, gdzie istnieje podział pasażerów na lepszych i gorszych jeszcze ostrzej zarysowany niż na „Titanicu”. Pasażerowie I klasy twierdzą jednak, że wszyscy mają się świetnie. A choć pasażerom z dolnych pokładów znacznie lepiej, wygodniej i bezpieczniej byłoby płynąć na mniejszych statkach, załoga i najbogatsi nie chcą ich wypuścić, udając za wszelką cenę, że wszystko jest w porządku. Gdy statek zacznie tonąć, to oni załapią się do szalup. Ci z niższych pokładów pójną na dno razem z liniowcem.

W „Moich latach na Downing Street” Margaret Thatcher wspomina swoje przemówienie w Brukseli – a było to 25 lat temu. Od tego czasu zjawiska piętnowane przez brytyjską premier spotęgniały wielokrotnie.

„Do tej pory tyle nasłuchałam się o europejskim »ideale«, że nie potrafiłam już znieść tego więcej; podejrzewam, że z innymi było podobnie. W imię tego ideału marnotrawstwo, korupcja i nadużycia władzy osiągnęły poziom, którego nikt [...] nie był w stanie przewidzieć. [...] Nie zapomniałam również o milionach wschodnich Europejczyków żyjących w komunizmie. Jak ściśle scentralizowana, obwarowana regulacjami prawnymi, ponadnarodowa Wspólnota Europejska mogła zaspokoić ich aspiracje i potrzeby?”.

Radosławowi Sikorskiemu do sztabu.

Łukasz Warzecha

Autor jest komentatorem „Faktu”

Tekst ukazał się w dzienniku Rzeczpospolita (03.04.2013 r.)

Rzeczpospolita Copyright by PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Wszelkie prawa zastrzeżone. Żadna część jak i całość utworów nie może być powielana i rozpowszechniania w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób (w tym także elektroniczny lub mechaniczny lub inny albo na wszelkich polach eksploatacji) włącznie z kopiowaniem, szeroko pojętą digitalizacją, fotokopiowaniem lub kopiowaniem - bez pisemnej zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. Jakiegokolwiek użycie lub wykorzystanie utworów w całości lub w części bez zgody PRESSPUBLICA Sp. z o.o. lub autorów jest zabronione pod groźbą kary i może być ścigane prawnie.